Nr. 6.

Kuryerek Poznański.

Rok 1.

Kuryerek Poznański wychodzi dwa razy na tydzień, w Środę i w Sobotę. — Prenumerata kwartalna wynosi 22 sgr. 6 fen. Inseraty 1 sgr. od wierszu.

Poznań, dnia 3 Maja 1865.

Zamiejscowi prenumerować mogą na pierwszy kwartał tylko w księgarniach, miejscowi w biórze redakcyi Kuryerka Poznańskiego, ulica Strzelecka Nr. 1.

Ponieważ z wielu stron doszły nas skargi, że zapisywanie Kuryerka Poznańskiego w księgarniach, dla wielu mieszkających na prowincyi jest utrudzające, dla tego oświadczamy, że oprócz księgarń, wprost u Redakcyi (Strzelecka ulica Nr. 1.) prenumerować można, a Redakcya zobowięzuje się numera **franco** na miejsce oznaczone regularnie przesyłać.

Rady dla młodego rzemieślnika

przez sławnego

Benjamina Franklina.

Chciałeś bym ci napisał prawidła jakich się trzymałem i jakie przydać się mogą i tobie, oto są:

Pamiętaj, że czas jest to samo co pieniądze. Kto może zarobić dziennie 10 złt. a przez pół dnia spaceruje i nic nie robi, choćby wydawał podczas próżnowania sześć tylko groszy, wydaje daleko więcéj, bo nie zarabia 10 złotych. Pamiętaj, że i kredyt jest to samo co pieniądze. Kto zostawia w mém ręku swoje pieniądze, oddaje mi procenta, czyli oddaje całe zyski, które za ich pomocą zarobić mogę. Zyski te dojdą do znacznéj wysokości, u osoby mającéj zaufanie i umiejącéj pieniędzy używać.

Pamiętaj, że pieniądze mogą się mnożyć nieskończenie. Pieniądz rodzi pieniądz. Z pięciu złotych będziesz miał sześć, potém siedm i groszy piętnaście, a nakoniec sto talarów. Im ich jest więcéj, tém się więcéj pomnażają, a zysk rośnie co chwila raptowniéj. Kto zabija prośną maciorę, niszczy jéj plemię na tysiące generacyi. Kto zabije złotówkę, traci wszystko coby przyniosła, to jest tysiące talarów.

Pamiętaj na to przysłowie, że *kto dobrze płaci jest panem cudzego worka.* Kto jest znanym z tego iż długi swoje w przyrzeczonym czasie niezawodnie uiszcza, ma w każdém zdarzeniu otwarte kieszenie u swoich przyjaciół! Jest to sposobność nader korzystna. Po pilności i oszczędności nic więcéj nie pomaga młodemu człowiekowi na świecie, jak rzetelność w interesach; nie przetrzymuj więc ani godziny nad czas oznaczony pożyczonych ci pieniędzy; raz złamane słowo może ci na zawsze zamknąć kieszeń twego przyjaciela.

W zachowaniu swego kredytu, najmniejszych strzedz się trzeba okoliczności. Kiedy wierzyciel słyszy twój młotek o godzinie piątéj rano lub dziesiątéj w wieczór, staje się na sześć miesięcy cierpliwszym; ale kiedy cię widzi w godzinach do pracy przeznaczonych grającego w bilard lub kręgle, lub śpiewającego w szynkowni, posyła zaraz nazajutrz po swoje pieniądze; woli ci odbierać częściami, niż czekać niepewnéj całości.

Pilność w pracy pokazuje nadto, że pamiętasz o tém, coś komu winien, nadaje ci postać człowieka starannego i uczciwego, a tym sposobem powiększasz twój kredyt.

Nie myśl nigdy, że wszystko co posiadasz należy do ciebie i nie żyj podług tego mniemania. Jest to błąd w który bardzo często wpadają osoby mające kredyt. Abyś go uniknął, utrzymaj przez czas niejaki ścisły rachunek swoich dochodów i wydatków, wyłuszczaj w nim najdrobniejsze szczegóły, a wiele osięgniesz korzyści; przekonasz się bowiem, jak cudownym sposobem z małych wydatków rodzą się wielkie summy; poznasz cobyś mógł i co możesz oszczędzić, nie robiąc sobie przykrości.

Jedném słowem, wiedz o tém, że droga do majątku, jeżeli jéj szukasz, jest tak równą jak droga do targu; zależy tylko na dwóch wyrazach: *pracy i wstrzemięźliwości;* nie trwoń ani czasu, ani pieniędzy i używaj ich jak najlepiéj. Przy pracy i wstrzemięźliwości dokażesz wszystkiego, bez nich niczego. — Kto zarabia uczciwie, a zarobek, zaspokoiwszy potrzebne wydatki, oszczędza, musi być bogatym, chyba Opatrzność, co rządzi losami ludzkiemi i któréj prosić winniśmy w każdém naszém przedsięwięciu o błogosławieństwo, rozporządzi inaczéj.

Listy wychodzcy polskiego.

Dokończenie.

List czwarty.

Obóz pod Richmondem, d. 15. Marca 1865.

Najdroższa i najukochańsza M.!

Przedwczoraj pisałem list do Ciebie, lecz obawiając się czy Cię też list mój dojdzie, piszę dla pewności aby Ci donieść o moim losie raz jeszcze dzisiaj. Jestem od przeszło dwóch tygodni w wojsku amerykańskiem, w obozie pod Richmondem to jest przeszło 700 mil angielskich od Newyorku w głębi kraju. Pułk ten w którym służę nazywa się 7. N. J. Comp. C. II. Corps. 3. Brigada 3. Division C. D. Stoimy na linii bojowéj i codziennie staczamy bitwy, okropna masa ludzi ginie i bardzo wielu kalek. Mój Boże, na moje stare lata w błocie, na gołéj ziemi o głodzie leżeć, i takie trudy znosić, codziennie życie ryzykować, dla kiepskich kilku set talarów, gdyż Ci już w ostatnim liście donosiłem, że mnie bogaty Amerykanin który miał służyć w wojsku, najął jako zastępcę na rok, i złożył dla mnie w kasie pułku 480 tal., które mi po wysłużonym roku wypłacone byc mają — wszelkie jest podobieństwo że wypłaty nie dożyję, chyba cudem, gdyż codziennie do nas strzelają, a takich najętych żołnierzy jak ja, to nietylko że traktują gorzéj jak psów, lecz właśnie w najniebezpieczniejsze miejsca posyłają; więc

wszelkie widoki że zginę, i tak może Pan Bóg moje nie do opisania cierpienia skróci. Życzyłbym jednak sobie, aby te pare set talarów, które utratą życia mego może nabędę, nie przepadły i abyś ty mogła dla siebie i dzieci jeżeli mnie Pan Bóg zabierze, takowe odebrać — dla tego schowaj ten list abyś wiedziała numer pułku i nie zapomnij że do wojska wstąpiłem pod nazwiskiem W. v. G. Możebyś się przez pruskiego ambasadora mogła potem jako moja żona i sukcesórka wylegitymować.

Tak najdroższy ty mój aniele, moje ty wszystko na tym świecie, nie masz, nie masz nadziei abyś jeszcze kiedyś tu na tym świecie twego nieszczęśliwego męża uściskała — wszystko, wszystko straciłem na tym świecie.

Piszę leżący na ziemi bo leżymy pod gołem niebem i od znużenia ledwo pisać mogę — flaszeczkę z inkaustem i piórko mam przy sobie, i to jest szczęście dla mnie bo mogę pisać do Ciebie. Muszę się kryć z tym skarbem bo każdy chce odemnie pożyczyć. Co tam robicie, co robią moje najdroższe dzieci, z czego ty biedaczko żyjesz? mój wielki Boże, zmiłuj się nad nimi i nademną! Codziennie proszę Boga o waszą pomyślność, i aby mi dozwolił choć raz jeszcze w życiu was uściskać. Lecz to tylko złudzenie, nie masz, nie masz już nadziei do takiego szczęścia dla mnie. Na téj obcéj ziemi opuszczony, pewnie zakończę to nędzne życie. Oj X. X. jak się pięknie wywięzuje z przywiązania do mnie! on nie ma dla mnie ani czasu ani papieru, aby mi słówko współczucia posłać...

Kończę bo bębnią i każą stawać pod broń. Dzięki Bogu że choć tyle zdążyłem napisać, ile będę mógł, będę Ci donosił czy żyję, jeżeli nie zginę to muszę rok cały wytrzymać, gdyż nietylko żebym nie dostał pieniędzy, lecz za najmniejsze oddalenie się, rozstrzelają. Położenie moje nie do opisania i cierpienia już zwalczyć nie mogę. Bywaj zdrowa najdroższa żono, choć tysiące mil oddalony, to nie masz chwili, bym o tobie i moich sierotach z miłością nie myślał. Niech was Bóg wszechmocny ma w swojéj opiece. O Boże zmiłuj się nademną — dziś w nocy mamy zdobywać fortecę Petersburg — Boże miéj litość nademną i pozwól przynajmniéj w Ojczyznie umierać. Twój Cię do ostatniego tchnienia kochający mąż

Moja modlitwa.

Nad wszystkom na świecie ukochał ja Ciebie
O Boże i Panie moj w niebie!
I w Tobie mi tylko nadzieja dziś stała
W puściznie po Ojcach została.

Więc ja też o swoich stroskany dziś srodze,
Do Ciebie uciekam się w trwodze,
I błagam codziennie z pokorą dziecięcia:
„Trzech rzeczy daj jasne pojęcia.“

A najprzód, o Boże! niech pozna lud stary,
Żeś wyższy nad króle i cary;
Że jedno Twéj woli skinienie potężne,
Niweczy zastępy orężne.

Powtóre daj Panie, by lud Twój stargany,
Miłością zabliźniał swe rany,
I niechaj członkowie męczeńskiéj rodziny,
Nie w sobie szukają już winy.

Potrzecie nakoniec wszechmocny daj Boże!
By naród się poczuł w pokorze,
I poznał, że jedność da silne mu ramię,
Którego moc piekieł nie złamie.

Wspomnienia
z kampanii roku 1830. i 1831.

przez

Wincentego Pola.

W miarę zbliżenia się do ludu, pragnęlibyśmy w nim upatrzyć i umiłować cnoty historyczne naszego narodu, ducha ofiary i poświęcenia. Dążność tego rodzaju jest bardzo naturalna, stany w narodzie mogą się tylko zrównać cnotą.

Gdybyśmy chcieli patrzeć na lud nasz w wielkich chwilach narodowych, znaleźlibyśmy mnóstwo rysów znakomitych, godnych dziejowéj pamięci.

Kto nie widział ludu w boju, albo na wielkim obszarze, zapalonego wojną narodową, kto nie widział uniesień ludu na pobojowisku, a cichych jego ofiar w czasach wojennych pod strzechą jego, ten nie zna ludu, ani zdoła ocenić heroicznéj siły jego w boju lub w oddaniu cichéj posługi sprawie ojczystéj.

Powstanie na Litwie w r. 1831 nie miało pozoru systematycznéj kampanii, ale było w całém znaczeniu tego słowa narodową wojną. Prawdziwym bohaterem nie byli tu naczelnicy powstań pojedyńczych, lecz była cała rzesza zbrojnych i lud cały, który to powstanie wspierał we wszystkich jego ruchach, lub szpiegował kroki nieprzyjacielskie na każdym punkcie całéj Litwy i donosił o obrotach Moskali. — Lud przeprowadzał powstańców przez nieznane puszcze, naprowadzał zbłąkanych lub odciętych; żywił cudowną prawie ręką częstokroć zgłodzonych; przeprawiał przez jeziora i rzeki i chował po puszczach i leśnych chatach rannych, którzy byliby bez pomocy zginęli przy tym rodzaju wojny, jaką powstańcy prowadzić musieli, bez odpowiedniéj broni do walki, bez zapasów i magazynów, amunicyi i centralnego punktu, któryby powstaniem kierował.

Otóż ten cały przeciąg wojny od czasu powstania Litwy aż do upadku jego, był jedną wielką chwilą poświęceń i ofiar prostego ludu, który je z tą głęboką wiarą składał nieświadomie prawie na ołtarzu ojczyzny, że tylko od kościoła i Polski zbawienie dla ludzi. — Czém więcéj się oddalam laty od owego czasu, z tém większą tęsknotą pociesza się serce obrazami tych podniosłych chwil, i oto jeden z takich obrazów:

Każdy oddział powstania był aż do wkroczenia wojsk polskich na Litwę niejako oddzielnym korpusem, który się utwierdzał w swoim obozie i według sił własnych lub nieprzyjacielskich stanowił o ruchu swoim, obmyślał wycieczki, robił zasadzki lub odwroty, niszcząc na każdym punkcie i o każdéj chwili nieprzyjaciela potężniejszego siłą i strwożonego jedynie przerwaniem wszelkiéj komunikacyi i przej-

mowaniem rozkazów, co główném było zadaniem powstańców i czém nieprzyjaciel rzeczywiście na równi stawał z powstaniem, nie mając częstokroć komendy.

Takim tedy korpusem był i legion akademików wileńskich, którzy w biały dzień z bronią w ręku z miasta wyszli, wzmocnieni oddziałem rzemieślniczéj czeladzi wileńskiéj, tak, że cały ten legion w połączeniu z powstańcami, którzy się z nim w jego pochodzie połączyli, liczył na puszczy do tysiąca ludzi.

Już na rogatkach wileńskich przyszło do starcia z Czerkiesami, którzy tam placówkę trzymali. W skutek śmiałego natarcia pierzchli Czerkiesy i roznieśli popłoch po mieście, że powstanie uderza na Wilno — jakoż nie ścigano powstania akademickiego, ale cofnięto się w głąb miasta, zająwszy ztanowiska obronne; noc zapadała i przez przeciąg téj nocy odsadzili się akademicy na mil kilka od miasta i stanęli obozem w puszczy głębokiéj, na wyniosłym ostępie otoczonym bagnami, gdzie wszystko znaleźli już przygotowane na przyjęcie swoje. Przewodnicy byli tak doskonali, iż ślad nawet zaginął gdzie się legion akademicki podział nim się jenerał Chrapowicki opatrzył, że cała młodzież akademicka wyszła z miasta.

Powstanie to było w samém mieście dobrze przygotowane, pod czujném okiem policyi, gdzie codzień o świcie plakaty uwiadamiały miasto o wyrokach śmierci na spiskowych; pomimo to jednak zaopatrzyła się cała młodzież w broń palną i sieczną, którą żydzi przedawali tajnie, i każdy miał z sobą zapas ołowiu i prochu, a wiem nawet o tém że srebrnemi kulami strzelano.

Wilno wyprawiło akademików jak dzieci własne — więc i z kasą i z apteką polową i z polowym ołtarzem, z całym przyrządem do nabożeństwa, z kapłanem i z niejednym lekarzem, a wszystko to było po obozowemu przyrządzone, zamczyste i dobrze uprzężone.

Na dzikim ostępie w puszczy stał obóz przez trzy dni i trzy noce w miejscu. Pod starą sosną ustawiono ołtarz, a po mszy świętéj wykonali wszyscy obecni przysięgę w ręce starego kapłana, który jednych spowiadał, a wszystkim dawał obsolucyą. Po trzech dniach wszakże przyszło do pierwszego spotkania. W dwóch kolumnach ruszył już nieco zorganizowany legion i w obu punktach odparł nieprzyjaciela, a pierwsze zdobycze, broń i konie, wydały nam się nieocenionéj wartości; obóz wszakże wypadało już opuścić, lubo pobyt na tym ostępie był bardzo dogodnym dla organizującego się powstania i nabycia wprawy w pierwszych przynajmniéj ruchach wojskowych. Do ołtarza i apteki przybyła tu jeszcze kuźnia, a z nią cała cygańska rodzina, która nam wielkie usługi oddała, bo cygan był wybornym kowalem i rusznikarzem, a niewiasty téj rodziny pielęgnowały chorych i rannych i dostarczały nam z miasteczek przedmiotów, których na wsi i w puszczy nie dostać było. Tych trzy dni spłynęło tedy na podzieleniu młodzieży na kompanje i lustracyi broni i amunicyi; podług kalibru rozdano broń kompanjom i odpowiednią ilość ładunków, a byli tam dzieciuchy z ptaszniczkami i z kruciczkami, których w obozie trzymać wypadało za linją bojową. Zapał był w legionie największy — szalenie rwało to się do boju, i kiedy Moskale już na tysiąc kroków rozpoczynali rotowy ogień, żaden z młodzieży nie chciał stracić naboju i podsuwał się tak blisko, aż już się pewnym strzału sądził z broni myśliwskiéj; ztąd lubo zawsze Moskale byli liczbą przeważni, ginęło ich nierównie więcéj od nas, bo od nas padały celne strzały, i ztąd też słyszałem nieraz jak krzyczeli:

— Odczajany narod — Laszok! Laszok! nie biery z głaza, popadiot sia niewinnomu!

Opuściliśmy tedy obóz po trzech dniach pobytu na ostępie; przy organizacyi jednakowoż naszego legionu wypadało się trzymać puszczy, bo nie mając bagnetów, dział i jazdy, przychodziło się obawiać spotkania w polu otwartém. Zręczność, odwaga i trafność strzałów dawała nam w puszczy przewagę nad Moskalami; łatwiéj było tu i obejść i napaść nieprzyjaciela, przy pomocy ludu, który sprawę naszą podzielając, z bydłem i dobytkiem schronił się w lasy, który nas żywił i przeprowadzał, kiedy Moskale puste tylko wsie i zaścianki zastawali. — Powstanie nie trzymało się właściwie siłą własną, ale siłą całego ludu, któremu przewodziło, co wypada w ocenieniu narodowéj wojny uwzględnić.

Po kilku potyczkach pod Bałaganami i Węglarkami, połączył się legion z powstaniem trockiém, które Matuszewicz prowadził; przy tém spotkaniu, które na zawsze pamiętném zostanie dla tych, co byli jego świadkami, było się już czém poszczycić, bo prawie całe dwie kompanje legionów były już w karabiny z bagnetami zbrojne, zdobyte na Moskalach przez profesora Gronostajskiego, który podówczas legionu oddziałem pod Bałaganami dowodził, kiedy profesor Klimaszewski dostał się w niewolę, z któréj się nie zaraz wydobył. W ożywionym obozie połączonego powstania było kilka chwil pięknych, których pamięć pozostanie na zawsze w pieśni:

Wiwat! wiwat! wódz nasz nowy,
Matuszewicz piorunowy!

Większe wszakże siły, zgromadzone w jednym punkcie, były do wyśledzenia łatwiejsze; jakoż oddziałem kilkotysięcznym otoczono w znacznéj odległości cały obóz, zapalono w kilku miejscach puszczę, aby utrudnić przejście na punktach niezastawionych, i przyszło do wyraźnéj bitwy.

Nieszczęściem, a może szczęściem legionów było, że to była tak zwana czarna puszcza, młodą jedliną gęsto podszyta, gdzie na kilka kroków przed sobą widzieć nie można było, gdzie prowadzenie legionu w szyku bojowym było niepodobném i gdzie właściwie odgłosem tylko rotowego ognia można było oryentować się w puszczy. Cały legion zwrócił się na komendę w jedną stronę, tam gdzie się najsłabszy ogień słyszeć dawał i istotnie uderzywszy w słabą lukę, wyszedł po krótkim bardzo przeciągu czasu z linii bojowéj, która go otaczała. Moskale strzelali na oślep z ogromnéj odległości; prowadzono nawet działa do puszczy i kule działowe górą puszczane łamały konary, które większém niebezpieczeństwem groziły od samych strzałów armatnich. Straszliwa była to chwila! Z jednéj strony trzask gorejącéj puszczy, z drugiéj gęsty ogień wystrzałów ręcznéj broni, kiedy łomot gałęzi nad głową zagrażał więcéj jeszcze od działowych strzałów.

Zawsze, kiedy sobie o téj chwili myślę, stają mi przed oczyma owi biblijni młodzieńcy, co się bezpiecznie przechadzali w wnętrzu gorejącego pieca i cało z niego wyszli. Istotnie cudem prawie nikt nie zginął, a kilkunastu zgubionych odszukało się późniéj, chociaż cały legion wraz z trockiem powstaniem poszedł w rozproszkę. Cóż go uratowało? Kto był jego aniołem wybawcą? Oto znowu lud po puszczy rozsypany, który pojedyńczych legionistów pozbierał i sobie tylko znanemi drogami przeprowadził do obozu księcia Ogińskiego i do chorążego Hordyńskiego, który zawilejskiem do-

wodził powstaniem zabrawszy w Wołkomierzu całe zapasy brygady huzarów.

Aby dać wyobrażenie cudowności tego ratunku, opiszę tu tylko jak jedna garstka powstańców została uratowaną po przebiciu się legionu przez linię bojową. Było nas czternastu i ujrzeliśmy się nagle nad brzegiem wielkiego jeziora; po prawéj i po lewéj grzmiał jeszcze ogień rotowy, który się z każdą chwilą posuwał ku jeziorowi i widocznie przybliżał. Moskale zszedłszy się z sobą na miejscu obozu naszego, dowiedzieli się dopiero że sami do siebie strzelali i że powstańcy przebili się którąś stroną. Nagle tedy zmienili front i znowuż na oślep posuwali się w promieniach od miejsca naszego obozu; w ten sposób doszła ta pogoń i nas stojących nad brzegiem wielkiego jeziora, a jeden z Litwinów skoczywszy przodem zawołał:

— Chowajcie się do wody!

Jezioro było płytkie i zaledwo sięgała woda do kolan.

— Kładźcie się! krzyknął, i każdy trzymając nad głową strzelbę i ładownicę zanurzał się jak mógł po szyję.

Tak tedy posuwaliśmy się coraz daléj w głąb jeziora ale na czem się skończyć miało? zapytywał każdy siebie. Już też i Czerkiesy dopadli do brzegu i rozpoczęli ogień z janczarek; po wodzie skakały kule kaczorem do koła nas, a lubo już na pięćdziesiąt kroków oddaleni, nie widzieliśmy sposobu wyjścia z téj toni. Jeden z Czerkiesów puścił się na jezioro widząc że płytkie. „Pal!“ krzyknął Litwin; trzech wystrzeliło i Czerkies spadł z konia. Wówczas to począł posuwać się przed nami przewodnik bardzo śmiało w głąb jeziora i woda sięgała już do pasa; tak wyszliśmy z obrębu strzałów czerkieskich, które coraz więcéj słabły, ale każdy z nas był zanurzony po szyję i udawał płynącego. Nagle stanął nasz przewodnik i rzekł:

— Teraz odsapnijcie. Czy nie ma kto gorzałki?

Była gorzałka w manjerce; bardzo pokrzepił nas ten posiłek, bo o świcie napadnieni przez Moskali nie mieliśmy dotąd nic w uściech choć już może było koło 11. z rana. Czerkiesy pozsiadali z koni i patrzyli z ciekawością co też się z nami stanie? A nasz przewodnik rzekł do nas po chwili, rozpatrując się po wodzie:

— Jam jest jeziorny tego jeziora, znam wszystkie mielizny; jeżeli który pływać nie umie to go i tak przeprowadzę.

Tu dopiero odetchnąwszy spojrzeliśmy po sobie, widząc w tem jawne zrządzenie Boże że pomiędzy czternastoma których traf ślepy o brzegi tego jeziora rzucił, znalazł się gospodarz jeziora, który jako rybak znał toń jego i wszystkie mielizny.

Tu dopiero rozpatrzyłem się w całéj okolicy — siny tylko rąbek lasu był widny od przeciwnego brzegu; dno jeziora było twarde, wody czyste, tylko po głębszych toniach modrawe; wielkie bloki granitu sterczały tu i owdzie z wód na podobieństwo wysp drobnych, obrosłe kępami mchów odwiecznych. Rybitwy ważyły się nad wodami i muskały powierzchnię jeziora, czasem rzuciła się wielka ryba i drobna fala zatoczyła kręgi. Cały krajobraz był po skandynawsku cichy i spokojny a szczególność wypadku i cudownego ratunku była tak niepodobną do ranka tegoż dnia — bo po ogniu znaleźliśmy się w wodzie — iż to wszystko razem wprawiało umysły nasze w jakieś dziwne uniesienie.

Przez parę godzin szliśmy wodą w różnych kierunkach tuż za przewodnikiem naszym, który tak bezpiecznie brodził po jeziorze, jak gdyby stąpał po ziemi w własnem obejściu. Jeszcze był bardzo wielki kawał drogi do brzegu gdyśmy do nowéj granitowéj wyspy przybrnęli. — Tu były mielizny znaczne i kępa sitowia otaczała z jednéj strony blok granitowy; przewodnik nasz siadł sobie na mszystym bloku i rzekł do nas: — „Ztąd już pojedziemy łodzią.“ — W bliskości kępy były zastawione więcierze i leżało kilka długich żerdzi, podniósł je nasz przewodnik i prosząc jednego z nas by zdjął mundur, zawiesił go na żerdzi i wyniósł w górę jak sztandar, chcąc dać znać swoim że to on od więcierzy żąda łodzi dla siebie.

Ciąg dalszy nastąpi.

Ceny targowe w Poznaniu 1. Maja. 1865.

	Od tl.	Od sr.	Od fn	Do tl.	Do sr.	Do fn
Pszenica piękna, szefel po 16 garncy	2	3	9	2	7	6
Pszenica średnia	2	—	—	2	2	6
Pszenica ordynaryjna	1	25	—	1	27	6
Żyto przednie	1	12	6	1	13	9
Żyto lżejsze	1	10	—	1	11	—
Jęczmień duży	—	—	—	—	—	—
Jęczmień mały	—	—	—	—	—	—
Owies	—	27	—	—	28	—
Groch do gotowania						
Groch na paszę	—	—	—	—	—	—
Rzep zimowy	—	—	—	—	—	—
Rzepik zimowy	—	—	—	—	—	—
Rzep latowy	—	—	—	—	—	—
Rzepik latowy						
Tatarka	—	—	—	—	—	—
Koniczyna czerwona, cent. 100 fnt.	—	—	—	—	—	—
Koniczyna biała	—	—	—	—	—	—
Ziemniaki, szefel	—	14	—	—	15	—
Masło, garniec	2	15	—	2	20	—
Siano, centnar	—	—	—	—	—	—
Słoma, kopa po 100 fnt. w. z. c.	—	—	—	—	—	—
Olej rzepiowy, cent. po 100 fnt.	—	—	—	—	—	—
Spirytus, beczka 100 kwart, 80 st. Tral.	12	13	8	12	18	9

☞ Prenumeratę na Kuryerka Poznańskiego przyjmują: **Redakcya**, ulica Strzelecka Nr. 1.; p. kupiec **Kirszenstein**, ul. Wrocł.; p. księgarz **Rejzner**, ul. Wodna i narożnik Garbar; p. prof. **M. Braun**, Garbary wielkie; p. kupiec **J. Affeltowicz**, Chwaliszewo; p. kupiec **Cichowicz**, ul. Berlińska; p. **M. B. Dębiński i Sp.**, ul. Piaskowa Nr. 2.; p. **Dębiński**, organista arhidyecezyalny w psałteryi przy Tumie; p. **Ernest Malade**, ul. Frydrychowska Nr. 19.; kupiec p. **P. Nowicki**, ulica Wrocławska Nr. 9.; również **wszystkie księgarnie zamiejscowe.**

Nakładem i pod redakcyą Waleryana Kurowskiego. — Czcionkami drukarni M. Zoerna w Poznaniu.